

— Nie tak, jak moje, na szczęście. Dowód, że się o te akcje dobijają, czy pan nie słyszy.

— Panie markizie?

— Czegoż pan chce jeszcze odemnie?

— Przez litość, odsprzedaj je pan. Jest jeszcze czas.

— Bardzo dobrze. Czy pan będzie nabywcą?

— Tak, prędzej dziś, niż jutro, bo jutro może być już za późno, kupuję po cenach kursu.

— Jakiego?

— Przecież dwóch kursów niema.

— Przepraszam pana. Jest kurs giełdowy i mój.

— Pana?

— Tak, i ten stanie się giełdowym od dziś, od jutra, za trzy miesiące.

— Będzie bez wartości!

— Tak się panu tylko zdaje. Mam zaufanie do tych akcji, skoro je pan sprzedaje.

— Panie markizie, zechciej mnie pan posłuchać! To ruina! Słyszysz pan! Ruina! Przecież jestem pana przyjacielem, a wkrótce ściślejsze związki łączą nas będą!

Markiz uśmiechnął się zimno.

— Mój kochany, w interesach niema przyjaciół, ani rodziny. Są tylko aferzyści, nic więcej. Żądam dwa tysiące za jedną akcję.

— Czy to ostatnie słowo?

— To jest moje żądanie. Sprzedaję po dwa tysiące.

— No, to będzie pan czekał długo na takiego głupca!

— Trzy miesiące najwyżej.

W tej chwili zbliżył się do rozmawiających urzędnik bankowy, lecz zatrzymał się, nie chcąc mówić w obecności barona.

— Nie mam tajemnic przed moim współnikiem — oznajmił markiz — o co chodzi?

— Ja nie chcę o niczem wiedzieć! — obruszył się de Bressien. — Jeżeli jeszcze coś usłyszę o tych akcjach, to czuję, że umrę na apopleksję.

— Pochowamy wówczas pana z wszelkimi należnymi mu honorami! — zaśmiał się markiz. — No, i cóż mi pan powie? — zwrócił się do urzędnika.

— Brakło już akcji, panie markizie.

— Doskonale.

— Czy pan markiz nie życzy sobie odsprzedać?

— Owszem, po dwa tysiące.

— Może nie tak ostro odrazu, panie markizie? Chociaż i do tej ceny dojść może.

— Dojdzie, dojdzie, zapytaj pan i pana barona Bressien, on o tem wie najlepiej.

Baron, to bladł, to czerwieniał się ze złości. Czyżby ten lekkomyślny markiz chciał stanąć w poprzek jego kombinacji finansowych?

— To szaleństwo! To istne szaleństwo! — syczał przez zęby. — Ci ludzie wszyscy napewno powaryowali!

Widok cisnącego się tłumu, rozgorączkowanego w najwyższym stopniu i blada, ironiczna twarz markiza, zachowującego ciągle zwykłą swoją flegmę i ironię, tak nieprzyjemnie podziały na bankiera, iż nie mogąc dłużej znieść tego widoku, porwał się jak szalony i pobiegł do domu. Tutaj przynajmniej odetchnie swobodnie, zbierze myśli, odświeży umysł i pewnie nawet dobrą radę odbierze od córki. Z tą nadzieją w sercu baron de Bressien wchodził do buduaru panny Sydonii, uspokojony już cokolwiek i przytomniejszy.

Bankierówna siedziała, a właściwie leżała z głową w tył odrzuconą w wielkim pluszowym fotelu. — Twarz jej była kredowo blada. U stóp jej na dywanie leżał telegram porzucony, zmięty i szeroko otwarty. Bez słowa, bankier pochylał się z wyciągniętą ręką i zgity odczytał straszną wiadomość, która potrafiła tak w jednej chwili podciąć siłę i energię jego niezwykłej córki.

Okrzyk nieludzkiej wściekłości wyrwał się z jego piersi, uczynił szybki ruch, by podnieść się, lecz zatoczył się tylko kilka razy i, jak kłoda, runął na posadzkę.

Postanowienie Henryka.

Cierpienie Henryka de Kermor przechodziło różne przeobrażenia. Raz gwałtowne, dochodzące do ostatnich paroksyzmów szału, pragnące zemsty i odwetu, drugi raz skupione w sobie, ciche i zrezygnowane. Była chwila, w której, pogardzając miłością swoją, był na drodze zapomnienia, tłumacząc sobie ten pierwszy porw serca lekkomyślnem zaślepieniem i naiwnością. W tem stadium był świadkiem owej zabawy nocnej. Henryk pod tem ostatecznem wrażeniem przez ręce Andrzeja Delrue wysłał był list do przyszłego swojego teścia, prosząc o wyznaczenie daty ślubu, czując, że już inaczej uczynić nie może.

Owej nocy, po rozejściu się z Andrzejem, Henryk pozostał sam ze swojemi myślami na ulicach uśpionego miasta. Próba oszołomienia się, podtrzymania w stanie podniecenia i zapomnienia spełzła na niczem. Henryk błądził po ulicach spowitych w mgłę gęstą i zimną i zdawał sobie teraz dobrze sprawę ze swojego stanu.

— Stało się — mówił głośno do siebie. — Wyczerpałem cały zasób mojego szaleństwa. Chciałem dowodu, dostałem go. Teraz wszystko skończone. Janina le Brenn nie istnieje dla mnie — umarła raz na zawsze w myślach moich.

Mówił to wszystko głosem zimnym i spokojnym, jak lekcję wyuczoną na pamięć.

— Teraz plan mojego postępowania wyraźnie jest nakreślony. Poślubiam Sydonię, wyjeżdżamy, a po odbyciu tej poślubnej podróży — oddaję się całkowicie dawnej mojej pracy — ekspedycji w głąb Afryki. Tak! nic innego mnie nie czeka i tak musi się stać!...

Henryk z energią powtórzył kilkakrotnie ostatnie słowa, lecz nagle uczuł jak coś załamuje się w duszy jego i dawno nie wymawiane słowa bez woli i świadomości wybiegły z drżących jego ust:

— Janko! Janko!

I wtedy cała boleść jego wybuchła w tej cichej skardze, boleść, w której dźwięczał wyrzut gorący i prośba i rozpaczliwe błaganie.

W okrzyku tym ujawniła się w całej pełni potęga miłości jego, uśpionej na chwilę, lecz silniejsza i trwalsza od tego wszystkiego, co widział i przeżył dotąd — silniejsza od niego samego.

I wtedy zrozumiał, dlaczego pomimo wszystko nie chciał powrócić z Andrzejem do pałacu, dlaczego pragnął pozostać w samotności. Czuł potrzebę wykrzyczenia tej miłości, która mu piersi rozpierała, a przedewszystkiem chciał raz jeszcze otwarcie spojrzeć w siebie, przekonać się, co uczyni dalej.

I świadomość tego, co ujrzał i zrozumiał, była nowem dla niego cierpieniem, nową boleścią.

Wiedział już teraz na pewno, że Janiny nigdy kochać nie przestanie, że nic i nikt nie potrafi w nim zniszczyć tego wyobrażenia, jakie miał o niej! Zrozumiał również, że nie będzie w stanie poślubić Sydonii de Bressien, nosząc w duszy niezatarty obraz tamtej.

I szalona rozpacz owładnęła nim na myśl, że tak jest rzeczywiście i że niema dla niego wyjścia z tej sieci, w którą zaplątał się dobrowolnie.

Swit dnia mglistego zaskoczył go jeszcze na smutnych rozmyśleniach. Znajdował się wówczas w okolicy północnego dworca. Przechodząc koło wielkiej wystawowej szyby, spojrzał mimowoli i cofnął się, zdumiony własnym wyglądem. W tym stanie nie może powrócić przecież do domu! Wszedł do napotkanej bramy jakiegoś hotelu, wyglądającego dość czysto i przyjemnie i kazał sobie dać pokój.

Tam dopiero odetchnął z ulgą. Ta prawdziwa samotność, usunięcie się z oczu wszystkich ludzi, podziałyła kojąco na jego nerwy wyczerpane. Ta godzina należała do niego, będzie ją mógł użyć na rozmyślanie i zastanowienie się nad dalszym planem swojego życia. Położył kapelusz na stole, zrzucił okrycie i usiadł w fotelu, ukrywając twarz w dłoniach.

— To małżeństwo jest niemożliwe — rozmyślał dalej. — Co robić? Dałem Sydonii obietnicę, a Delrue postara się przyspieszyć dzień ślubu. Mogłbym łatwo skończyć z tem wszystkiem raz na zawsze i nie męczyć się więcej, ale matka? ojciec? i słowo dane?...

Długą chwilę Henryk rozmyślał, nie mogąc dojść do uchwycenia pewnego postanowienia, któreby miało stanowić o dalszym jego losie, wkońcu zmęczony i zniechęcony, postanowił odpocząć trochę.

Najpoważniejszy i najrozsądniejszy człowiek mimowoli zajmuje się nawet w chwilach najbardziej przełomowych życia — nic nie znaczącymi drobiazgami, wcale nie kolidującymi z obecnym jego stanem.

Jestto może instynktowne pragnienie zmęczonego mózgu, dążącego do reakcji i wypoczynku.

Henryk de Kermor przypomniał sobie nagle, że ma w kieszeni nieprzejrzaną jeszcze pocztę poranną, oddaną mu, gdy wychodził przez służącego.

Przerzucił szybko kilka kartek i listów, aż narazie jeden list, datowany z Anglii, zwrócił jego baczniejszą uwagę. Przeczytał go dwa razy i zastanowił się.

— Kto wie — szepnął po chwili — może to dobra myśl?

List brzmiał w te słowa:

„Kochany Henryku!

Od dnia twojego nagłego wyjazdu do kraju, pracowaliśmy bez przerwy w kierunku danych nam przez ciebie instrukcji. Nasze stowarzyszenia w Congo

zrealizowały się szczęśliwie, chociaż przez cały czas trwania naszej pracy brakowało nam dwóch rzeczy, a przedewszystkiem ciebie, który byłeś przewodnikiem i doradcą naszym. Zastępował cię porucznik Mauvreuil i dosyć dzielnie, muszę przyznać, lecz niestety nie posiada w sobie genialnych zdolności i zmysłu kupiectwa. Miejsce twoje jest więc zawsze wolne i oczekujemy cię wszyscy z upragnieniem. Drugim brakiem, który nam się bardzo dawał odczuwać w twoim przedsięwzięciu, jest brak kolejki, takiej, jaką posiadają nasi sąsiedzi, belgijczycy. To pewne, że posiadanie kolei żelaznej dla własnego użytku nie jest drobnostką. Trzeba na to być milionerem, jak naprzykład ten Allan Amerykanin. Otóż, mój kochany Henryku i tę trudność przezwyciężyliśmy. Znałem Allana, gdyż ojciec mój jest akcyonariuszem jego towarzystwa — udałem się więc do niego, do Londynu i umiałem go tak za-interesować naszą sprawą, iż przyrzekł obejrzeć je z bliska, na miejscu. Mając jego pomoc, damy sobie radę. Tylko ty do tego, jako główny kierownik, jesteś nieodzownie potrzebny. Allan nie może w tym czasie udać się do Paryża, wynaleźliśmy więc ułatwienie. Parowiec „Hamburg“, płynący teraz do Afryki, zatrzymuje się w Boulogne-sur-Mer. Tym to parowcem wyruszymy z Allaniem w sobotę rano — ty zaś postaraj się być tego dnia w hotelu amerykańskim. Wyruszyśz z Paryża o godzinie dziewiętej rano i tam spotkamy się wszyscy.

Doszła nas wieść o twoim małżeństwie, życząc ci szczęścia, Henryku, ale pragnąłbym bardzo, abyś opóźnił swój ślub do trzech miesięcy i przyłączył się do nas, udając się do Brazzaville, gdzie obecnie przebywa twoja ekspedycja na wypoczynku, niestety, dzięki tobie. Pomyśl Henryku, teraz, przy pomocy Allana, czeka cię tutaj sława i majątek! Czy chcesz to porzucić? Daj się namówić i przybyszaj dokończyć swojego zwycięstwa w tych krajach, do których nas za sobą pociągnąłeś, a teraz zostawiłeś!

Rodzinne twoje sprawy muszą już być uregulowane. W każdym razie pamiętaj: w sobotę, w Boulogne, hotel amerykański. — Twój stary towarzysz i przyjaciel — Laneuville“.

List ten obudził w umyśle Henryka de Kermor cały entuzjazm przeszłości, kiedy to pochłonięty pragnieniem i nadzieją, wyruszył na zdobycie sławy i majątku, do południowej Afryki! Oh! gdyby tak powrócić, zakończyć rozpoczęte dzieło, zagrzebać wspomnienie miłości? Była to straszna pokusa dla Henryka, której oprzeć się nie był w stanie.

Właściwie chodziło tylko o zwłokę trzechmiesięczną, a lekarze nawet sami wyznaczili mu podobny termin, dla dokończenia kuracji. Niepotrzebnie zupełnie chciał przyspieszyć ślub swój z bankierówną. Teraz może zaczekać jeszcze trzy miesiące, aż powróci z wyprawy, z której przywiezie majątek dorównywujący, choć w części, jej posagowi. Henryk uczuł, że nowa energia nagłe wstępuje w niego. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina siódma. Zadzwoił na służącego i rozkazał mu w przeciągu godziny wystarać się o całkowite ubranie podróżne. Żądanie jego wcześniej jeszcze zostało spełnione. Henryk ubrał się spieszenie i zauważył z przyjemnością, że ubranie, kupione w pierwszym lepszym magazynie konfekcyjnym, przedstawiało się wcale nie źle. Widząc, że pozostaje mu jeszcze prawie godzina do odejścia pociągu — postanowił napisać do ojca. List był następującej treści:

„Mój drogi ojcie. — Załączam list przyjaciela mojego de Laneuville, który ci wytłumaczy nagły mój wyjazd. Ja pierwszy powziąłem myśl tej ekspedycji do Dubaniki, która miała na celu podniesienie przemysłu praktycznego w tamtejszych koloniach. Towarzysze moi ryzykowali życie swoje i mnie w tem przedsięwzięciu, nie mogę ich więc zostawić własnemu losowi, tembardziej, że sami mnie wzywają i proszą o objęcie dalszego kierownictwa. Pokładam wiele nadziei w tej sprawie, i obowiązkiem moim jest zrealizowanie jej jeszcze przed zawarciem związku mojego z panną Sydonią de Bressien. Sądję, że baron, sam wytrawny aferzysta, zrozumie moje postanowienie i nie weźmie mi za złe mojego nagłego wyjazdu. Panna Sydonia również zechce mi wybaczyć, mam nadzieję. Ciebie zaś, mój ojcie, proszę, abyś był rzecznikiem moim wobec narzeczonej mojej i jej ojca, i przekonał ich, że wyjazd mój jest przymusową koniecznością. — Pożegnaj gorąco odemnie matkę moją. — Twój syn oddany“ — kończył de Kermor.

(Dalszy ciąg nastąpi).